ROZMAITOŚCI.

Dnia 12. Grudnia. № 50. Roku 1855.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA
Południowéj Ameryki.

Z dziennika podróży młodego Anglika.

(Ob. N. 47. 48. 49. Rozmaitości.)

Trzecia z grup, o których wspomniałem, była cokolwiek więcéj oddalona od miejsca, które zajmowałem. Ciekawość moja i podziwienie nadzwyczajnie się wzmogły, gdy poznałem że to są *Indyanie.*

— Byliżby to jeńcy?.. pomyślałem. Ale nie — nie są powiązani, i nic w ich obejściu nie okazuje, żeby byli w niewoli; — a przecież to są Indyanie. Sąż i oni z części bandy, która walczy przeciw...

Gdym się gubił w tych przypuszczeniach, jeden ze Skalperów przechodził koło mnie.

— Co to są za Indyanie? zapytałem, wskazując na tę grupę.

— To są Delawarowie i kilku Chaniów.

Miałem więc przed oczyma owych sławnych Delawarów, potomków wielkiego szczepu, który pierwszy wydał bitwę *bladym twarzom* na brzegach Atlantyku. Cudowna też to ich historya! Wojna była u nich szkołą dla dzieci; wojna była ich namiętnością, ich wytchnieniem, ich rzemiosłem. Dzisiaj mała ich już tylko pozostała liczba; historya ich wkrótce dociągnie się do ostatniego rozdziału.

Wstałem i zbliżyłem się do nich z żywém zajęciem. Kilku siedziało około ognia, i paliło tytuń z ciekawie rzeźbionych fajek z czerwonéj gliny. Inni przechadzali się z tą powagą, która tak oznacza leśnych Indyan. Panowało wśród nich milczenie, dziwny stanowiące kontrast, z hałaśliwą gadatliwością ich sprzymierzeńców Meksykanów. Od czasu do czasu pytanie rzucone głosem cichym ale dźwięcznym, odbierało odpowiedź krótką i treściwą, niekiedy tylko jakiś nieoznaczony dźwięk gardłowy, albo pełne godności skinienie głową lub ręką. Tak rozmawiając, napełniali fajki swoim *kin-kini-ig*, i puszczali między sobą w koléj te drogocenne naczynia.

Patrzyłem na te stoiczne dzieci lasów, nie z prostą ciekawością, ale z tém uczuciem, jakiego się doświadcza, poglądając na rzecz, o któréj się wprzód nasłuchało, lub naczytało dużo. Historya

ich wojen i błędnego życia świéżo tkwiła w mojéj pamięci. Aktorowie tych wielkich scen stali przede mną, a przynajmniéj typy ich rasy, w całéj rzeczywistości, z całą dzikością malowniczą ich indiwidualności. Byli to ludzie, którzy wypędzeni ze swego kraju przez pionierów przybyłych z Atlantyku, ustąpili tylko przed nieubłaganém fatum, jako ofiary nieszczęsnego przeznaczenia ich rasy.

Przebywszy *Apalachy*, walczyli o każdą piędź ziemi, wzdłuż pochyłości *Alleganów*, w nadbrzeżnych lasach Ohio, aż do środka samego *ziemi krwawéj*. *) A *blade twarze* ciągle następowały na nich, parły ich i popychały bez przerwy ku zachodowi słońca. Mordercze walki, łamana wiara, zerwane traktaty coraz bardziéj przerzedzały ich szeregi. A oni za nic w świecie niechcąc żyć obok białych zwycięzców, ustępowali ciągle i nowemi walkami otwierali sobie drogę wśród pokoleń ludzi czerwonych jak oni, ale trzykroć liczniejszych. Nad rzéką Osaz (Osage) zatrzymali się po raz ostatni.

Tam przywłaszczyciele zobowiązali się raz na zawsze szanować ich terrytoryum. Ale koncessya ta przybyła za późno. Życie błędne i wojownicze stało się dla nich potrzebą, naturą; — wzgardzili więc spokojną pracą około roli. Reszty ich pokolenia zgromadziły się nad brzegami Osażu; lecz w końcu roku, zniknęli. Wszyscy wojownicy i młodzież wynieśli się, zostawiwszy na ustąpionéj sobie ziemi tylko starców, kobiéty i tchórzów.

Gdzież tedy poszli, i gdzie są dzisiaj?.. Kto chce znaleźć Delawarów, niechaj ich szuka śród wielkich łąk, w lesistych dolinach górskich, w miejscach zamieszkałych przez niedźwiedzie, bobry i bawoły. Tam ich znajdzie, rozsypanych tu i owdzie, samych, albo w przymierzu z dawnymi nieprzyjaciołmi, z *blademi twarzami;* polujących, albo walczących z Yutami albo Rapahami, z Crowami i Cheyennami, z Nawajami i Apachami.

Byłem, powtarzam, głęboko wzruszony, patrząc na tych ludzi; rozbierałem ich rysy i malowniczy ubiór. Chociaż nie można było dostrzedz dwóch zupełnie jednako ubranych, było przecież pewne podobieństwo w ich stroju. Większa część miała na sobie myśliwskie bluzy z danieléj skóry, takie jak biali, tylko jaskrawszemi okryte deseniami.

Ubiór ten, przykrojony z wdziękiem i ozdobiony haftami, szczególne czynił wrażenie, obok wojennych przyborów Indyan. Ale czém szczególniéj Delawarowie i Chawajowie różnili się od swych białych sprzymierzeńców, to strojem głowy. Strój ten składał się z turbanu, zawiązanego z szarfy albo chustki jaskrawego koloru, podobnego do tych jakie noszą brunatne Kreolki na Hajti.

W grupie, którą miałem przed oczyma, nie można było dostrzedz dwóch jednakowych turbanów, ale wszystkie miały jeden charakter. Najpiękniejsze były z pasiastych chustek z Madros. Nad nie-

*) Część kraju nad Ohio, tak nazwana od krwawych walk stoczonych śród niéj między Indyanami a białymi.

mi wznosiły się pióropusze, złożone ze świetnych piór *orła bojowego*, lub z piór niebieskich *grui.* *)

Ubioru ich dopełniały kamasze ze skóry danieléj i mokasiny, takie prawie jak traperów. Kamasze niektórych ozdobione były przytwierdzonemi na szwie zewnętrznym skórami z włosem ludzkim, dającemi świadectwo, o okropnéj dzielności tego, który je nosił. Uważałem, że ich mokasiny miały szczególną formę, i że się różniły zupełnie od mokasin Indyanów z łąk. Były zszywane na wierzchu, bez haftów i ozdób, i otoczone podwójnym obrąbkiem.

Wojownicy ci byli uzbrojeni tak jak biali. Od dawna już zarzucili byli łuki, a niejeden z nich mógł walczyć o piérwszeństwo z białymi w użyciu ognistéj broni. Obok strzelby i długiego noża, większa ich część miała starą tradycyonalną broń ich plemienia, straszną *tomahawkę*.

Opisałem tutaj trzy grupy charakterystyczne, które uderzyły moje oko wśród tego obozu. Oprócz tego byli tam ludzie nie należący do żadnéj z nich, albo zdający się należéć do wszystkich. Byli to Francuzi, podróżnicy Kanadyjscy, włóczęgi od kompanii północno-zachodniéj; nosili oni surduty białe, żartowali, tańczyli, śpiewali piosnki majtków i inne, z dowcipem właściwym ich szczepowi; byli tu wreszcie ***Pueblos Indios manzos*** **) odziani w swoje wdzięczne *tilmas*, a uważani raczéj za sług, niż za towarzyszów, przez tych, którzy ich otaczali.

Byli tam także mulaci, murzyni, czarni jak heban, zbiegli z plantacyi Luizyany, którzy woleli wieść takie koczujące życie, niż słuchać razów świszczącego bata dozorcy. Można tam jeszcze ujźrzéć kawałki mundurów, oznaczające dezerterów z jakiego posterunku pogranicznego; byli tam i Kanakowie z wysp Sandwich, którzy przebyli pustynie Kalifornii etc. etc. Jedném słowem w obozie tym zgromadzeni byli ludzie wszelkich kolorów, wszystkich krajów, i mówiący wszystkiemi językami.

Wypadki życia, lub zamiłowanie w awanturniczości, sprowadziły ich tutaj. Wszyscy zaś razem, tworzyli bandę, najdziwaczniejszą, jaką można gdziekolwiek obaczyć: *bandę Skalperów.*

USTĘP III.

I. Miasto Nawajów.

Dobrze się już zmierzchało, kiedyśmy stanęli u stóp Sierry, przy wejściu do Kanionu.

Nie mogliśmy iść daléj brzegiem wody, bo nie było ani ścieżki, ani brodu. Trzeba było koniecznie wdzierać się na spadzistość, tworzącą południową ścianę otworu. Przed nami wiła się droga śród nędznych krzaków sosnowych; po niéj więc, za naszym przewodnikiem, poczęliśmy się wdrapywać na górę.

Po godzinie blizko takiego pochodu, po straszliwéj drodze, wieszającéj się nad samym brzegiem przepaści, stan-

---

*) Rodzaj małego niebieskawego żórawia

**) *Indios manzos* — Indyanie łagodni, dla odróżnienia od *Indios bravos* — Indyan okrutnych.

liśmy u szczytu; oczy nasze skierowały się ku wschodowi. Byliśmy u celu naszéj podróży: miasto Nawajów było przed nami.

Voila! Mira el pueblo! That's the town! Hurra! zawołali wojownicy, każdy w swoim języku.

— Boże! przecież jestem tutaj nakoniec! szepnął Seguin, którego rysy zdradzały głębokie wzruszenie. — Boże, bądź błogosławiony!... Stać, stać, towarzysze!

Ściągnęliśmy cugle i stanęliśmy nieporuszeni na zmęczonych koniach, a wzrok nasz pobiegł na płaszczyznę. Pyszne panorama, pyszne pod każdym względem, rozścielało się przed nami, a interes jakim patrzyliśmy na nie, podwajały jeszcze przyczyny, które nas sprowadziły w te miejsca.

Stojąc na ostatecznym zachodnim krańcu podłużnéj doliny, widzieliśmy ją w całéj rozciągłości. Nie była to właściwie dolina, chociaż ją tak nazwali hiszpańscy Amerykanie, ale raczéj płaszczyzna otoczona zewsząd górami. Miała ona kształt elipsy, któréj oś wielka, czyli odległość między ogniskami, mogła 10 do 12 mil wynosić, gdy tymczasem oś mała nie miała więcéj nad pięć do sześciu. Powierzchnia jéj przedstawiała równinę zieloną, śród któréj nie było ani krzaczka, ani pagórka. Było to niby jezioro spokojne, w szmaragad zaczarowane.

Linia srebrna w wdzięcznych zakrętach przecinała ją w całéj długości, i oznaczała bieg strumyka krzyształowego. Ale góry! jakież dzikie góry! zwłaszcza te co do połowy ograniczają równinę. To są nagromadzone masy granitu. Jakież wstrząśnienia w naturze musiały poprzedzić ich narodzenie. Widok ich przywodził na myśl wyobrażenie planety w bolach porodu. Ogromy skał zawieszone nad przepaścią zaledwie trzymają się na swoich posadach. Zdaje się, że uderzeniem pióra możnaby strącić na dół te masy olbrzymie. Okropne otchłanie tworzą straszne, ponure wąwozy, których milczenia żaden szelest nie zamąci. Tu i owdzie sękate drzewa, sosny i cedry rosną horyzontalnie i wiszą wzdłuż skał. Szpetne gałęzie kaktusu, chorobliwe liście kreozotu wyglądają z rozpadlin, i nadają jeszcze dzikszy i bardziéj ponury charakter téj okolicy. Taka była północna granica téj doliny.

Sierra południowa przedstawiała zupełny kontrast geologiczny. Z téj strony nie było ani jednego granitowego kamienia. Widać tam było także masę nagromadzonych skał, ale białych jak śnieg. Są to góry białego kwarca, zakończone ostremi wierzchołkami, rozlicznych kształtów, nagiemi i błyszczącemi. Ogromne masy wiszą nad głębokiemi przepaściami; wklęsłości równie jak wyniosłości ogołocone są z drzew. Roślinność tam istniejąca nosi na sobie wszelkie znamiona zniszczenia.

Obiedwie *Sierry* zbiegają się u południowego krańca doliny. Ze szczytu, któryśmy zajęli, a który był na zachodniéj stronie, widzieliśmy wyborny cały ten obraz.

Na drugim końcu doliny ujźrzeliśmy przestrzeń czarną; był to las sosnowy, ale tak odległy, że nie można było rozróżnić drzew pojedynczych. Zdawało się że z tego lasu wybiega strumień, a na jego brzegach przy saméj granicy lasu, dostrzegliśmy dziwne, piramidalne budowle; to były domy — to było miasto Nawajów!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ANTIGONA KORSYKAŃSKA.

Z podań korsykańskich Gregorowicza.

W roku 1768 zajęli Francuzi Olettę, sioło znaczne w ziemi Nebbio; lecz że to miejsce ważném było w obrotach wojennych Korsykanom, wszedł Pasquale Paoli w tajemne zmowy z Olettanami, ażeby napaść i pojmać Francuzów. Załoga francuska niespełna tysiąc pięćset ludzi pod dowództwem Margrabi d'Arcambal, czując się słabą, a przytém ostrożna, jak winna być w kraju nieprzyjacielskim, obwieściła wojenne prawo doraźne, i Olettanie nic przedsiębrać, prawie za próg wychodzić nie mogli, tak czujny był nadzór Francuzów.

Grobowa cisza panowała w Olecie.

Wydarza się raz, że młody Giulio Saliceti omija straże francuskie i wychyla się za wieś na pola; ujęty za powrotem, odsiedzieć musiał jakiś czas w wiezieniu.

Wychodząc, w złości za wyrządzoną sobie obelgę, półgłosem odgrażać się zaczął na Francuzów. Zasłyszał pogróżki jakiś sierżant francuski i wyciął Giuliemu policzek, właśnie pod domem gdzie w oknie stał stryj Giulia, opat Saliceti, przezwany „Peverino“ niby „pieprz hiszpański“, bo był porywczy i niezmiernie popędliwy.

Widok zniewagi siostrzeńca oburzył stryja do żywego, zajskrzyły mu się oczy, jakby w wnętrznościach paliło, porywa Giulia za rękę i zamyka się z nim w komorze. Co tam uradzili? nie wiedzieć; ale po chwili wyszli spokojni a zamyśleni.

Dopiéro w nocy widać było ludzi jak się w dom Salicetich wkradali, i pewnie-to wówczas rada stanąć musiała, wysadzić w powietrze kościół, gdzie się Francuzi usadowili z całą załogą, gdyż odtąd zaczęli podkopywać miny wiodące od domu Salicetich pod kościół, a przetwory wypełniać prochem, który zataić umieli przed Francuzami.

W dniu trzynastym lutego 1769 miał kościół z Francuzami wylecić.

Prężyła Olettanami zemsta, a serce Giuliemu stężało w kulę; jutro, mówi ze drzeniem, jutro pozwólcie mnie lunt podpalić, należy mi się za wycięty policzek oddać im podlot w obłoki, niech się wytrzęsą z Oletty jak ołów z trąby.

Ale co będzie z żonami i z dziećmi? Wybuch wyniesie kościół, ale rozwali domki sąsiednie i niewinnych pobije.

Przestrzedz ich; na drugi koniec sioła niech się przeniosą pod jakim bądź pozorem, byle cicho i nieznacznie.

I tak się stało. W porę zbliżenia ruszyli tłumem starce, kobiéty, dzieci, jedni poza opłoty, inni ulicą, inni przez ogrody, wszyscy chyłkiem i w ciszy a z wyrazem obawy abo przestrachu zaczęli się zbierać na drugim końcu sioła.

Wpadło to w oczy Francuzom, do tego jeszcze przypada goniec z obozu generała Grand-Maison, i donosi o uknutym zamachu.

Rzucili się piorunem na dom Saliceticb, i wczas dosięgli miny. Przyszło do utarczki, Saliceti, Peverino i część sprzysiężonych przerznęli się na przebój, i uszli szczęśliwie, ale wielu innych pojmano; sąd wojenny skazał czternastu na łamanie kołem, i na siedmiu z nich spełniono wyrok.

Na postrach i zgrozę kazano wystawić ciała publicznie na placu przed klasztorem, i odmówiono im pogrzebu; komendant francuski zapowiedział nawet karę śmierci każdemu, ktoby się poważył zdjąć ciało z rusztowania, i grzebał winowajcę.

Popłoch i trwoga ogarnęła Olettę całą. zaumarło życie w mieszkańcu; za domem ani żywéj duszy, a w domu ani światła, ani ogniska, ani głosu ludzkiego, płacz tylko i jęki. Jak posągom z martwego głazu, zastygły im oczy w rusztowaniu na placu przed klasztorem, gdzie leżały ciała męczenników.

Po długim, długim dniu boleści, nadeszła noc dobroczynna, i zbolałą duszę powlokła kirem i zamroczyła wrzące rany; dla jednéj tylko Maryi Gentili Montalti nieprzyniosła otuchy. Siedziała w odosobnionéj komórce, ręce załamane, głowa zwieszona, oczy zmrużone, nie płakała, chwilami tylko gwałtowny odetch wyłkał konwulsyjne drgnienie.

Wtém zdał jéj się zachodzić głos z odległości: „O Mari!“

A bywa czasami, że umarli pod ciszę nocną wywołują po imieniu tych, których za życia kochali. Ale kto odpowie, ten umierać musi.

O Bernardo! zawołała Marya, bo chciała umierać.

Bernardo był jeden z potępionych a siódmy z kolei. Zaręczony z Marya, na przyszły miesiąc miało być wesele, teraz poległ na rusztowaniu, i od niego głos zdawał sie Maryi zalatywać. W zamroczu umysłu wszczyna z nim rozmowę, natęża słuchu, i zdaje jéj się wyraźnie, jak się doprasza pogrzebu chrześciańskiego.

Ale kara śmierci temu, kto ciało z rusztowania pogrzebie. Marya z umarłym rozmawiała, więc umierać musi, ale wprzód ciało kochanka pochowa. Śmierć ją nie trwoży, ale zadrzało serce, pomnąc jakie bolesne cierpienia rodzicom gotuje, gdy głowa jéj pod toporem spadać będzie. Dwakroć wykrada się i dwakroć żałoba rodziców zachwiewa postanowieniem córki.

Lecz znowu głos ją dochodzi: o Mari! Mari! w złamanych kościach moich, moje serce nietknięte spoczywa w miłości ku tobie; pochowaj mię w kościele Ś. Franciszka w grobach ojców moich... o Mari!

Niema zaklęcia na głos umarłych! Śmiało Marya wychodzi w noc ciemną, burza właśnie spędzała obłoki, wiatry dęły, szum i świst wiatrów słuchy odbierał, zapierał odetch, straż przy rusztowaniu zatuła się płaszczem w ustroniu bezpieczném. Marya osłoniona czarną faldettą, ażeby mniéj jeszcze dać się rozeznać, odmawia pozdrowienie anielskie i modlitwę do Panny Najświętszéj i śmiało podchodzi na rusztowanie. Siódmy między męczennikami Bernardo, wiedziała i sercem go poznała, ujmuje ciało w ramiona swoje, nieba dodają sił słabym rękom niewieścim, i unosi kochanka do kościoła Ś. Franciszka. Składa pobożnie u stóp ołtarza, przed którym lampa wieczysta płonęła, a potém otwiera kamień grobowy ojców, wraca i składa ciało na wieczny spoczynek. Ucałowawszy odmówiła, pacierze śmiertelne za dusze zmarłe, i pocieszona w duchu odchodzi niepostrzeżona szczęśliwie do domu.

Nazajutrz gdy się opatrzyli Francuzi, powstała wrzawa w całéj wsi, uderzono na alarm; w podejźrzenie im wpadła rodzina Leccia z któréj pochodził Bernardo; otoczyli więc dom, zajęli wszystkich, pokuli w kajdany, osadzono w turmie, i po sądzie wojennym skazano wszystkich na śmierć luboć się nie przyznawali.

Gdy zasłyszała o tém co się działo Marya Gentili, pośpiesza nic nie mówiąc przed ni-

kim do hrabi de Vaux, który do Oletty właśnie nadjechał; rzuca mu się do nóg, wydaje siebie, a błaga o uwolnienie pojmanych. Ja pogrzebałam kochanka mego, jam śmierci winna, oto głowa moja, ale oddajcie wolność niewinnym.

Nie dowierzał wprawdzie hrabia z początku, wydawało mu się niepodobném, by słabe dziéwczę tyle miało odwagi i z taką siłą ducha i ciała dokonała tego, na co się nikt w całéj wsi nie poważył. Zajaśniała mu łza w oku, gdy się przekonał, — wracaj, mówi, moje dziecię do swoich, i sama oddaj na wolność krewnych twojego oblubieńca, a Bóg niech ci wynagrodzi bohatyrską twą duszę.

Tego samego dnia zdjęto ciała wszystkich, i wyprawiono im uroczysty pogrzeb.

OBRAZKI PARYZKIE.

(Ob. Nr. 49. Rozmaitości.)

Teraz przejdziemy do ucieszných kunsztów, do artykułu fantazyi, do tak zwanego „utile dulci“, jak mawiali Rzymianie. Przypatrzmy się pani Vanard; ona-to potrafiła wszystkie te trudne rzeczy połączyć w jednéj profesyi. Tu powinienbym właściwie opowiedzieć państwu całą rozczulającą historyę o osmnastoletniéj wdowie. Jéj mąż, który chciał swéj kochanéj połowicy zapewnić potrzebny dostatek i wygodę, zabił się swoją pracą. Urządził był małą destylarnię, w któréj pracował dla perfumiarzy i cukierników. W ciągu krótkiego szczęśliwego pożycia małżonków, wyuczyła się młoda kobiéta z przypatrywania tylko niektórych tajemnic chemicznych, a nawet doprowadziła do tego, że mogła zastępywać męża przy flaszkach i kociołkach, gdy niebył obecny. Pomimo swego żalu więc chciała prowadzić daléj handel męża. Przypomniała sobie, że mąż raz przy obiedzie w traktyerni, dokąd czasami ją prowadził, rzekł do niéj na widok cytryny: „Przemyślny człowiek mógłby w Paryżu zrobić szczęście jedynie z tych łupin, które wyrzucają na śmiecie.“ Pani Vanard niezbywało na przemyślności; wzięła kosz do rąk i odwiedzała codziennie ulicę Montorgueil, tę krainę ostryg. Gdy gałganiarze przerzucili już śmiecisko na wszystkie strony, zaczynała swoją robotę. Posługacze traktyerni uważając kilka razy, że jakaś młoda kobiéta zbiera tak troskliwie łupiny ze śmiecia, przyrzekli chować dla niéj na przyszłość łupiny cytryn i pomarańcz; tak samo uczynili posługacze teatrów. Słowem, pani Vanard urządziła swój mały warsztat i utrzymywała kilka dziewcząt do zbierania łupin. Warsztat ten widziałem. Proszę przedstawić sobie duży pokój osłonięty od dołu do góry rogóżkami, a na nich miliony kawałków skórek cytrynowych i pomarańczowych. W pośrodku pokoju siedzi dokoła stołu dwadzieścia dziewcząt, które śród wrzawy, chichotów i śpiewów wyskrobują łupiny. Potém składają je do worków, pudełek i pak. Tym sposobem staje się łupina skórką. Ztąd rozsyłają ją za granicę, do pewnych fabryk w Paryżu i na prowincyę, gdzie fabrykują tylko Curaçao, syrop cytrynowy, limonadę, esencyę ponczową i t. p Ten-to rodzaj przemysłu posłużył do zrobienia szczęścia lubéj istocie, tak że może teraz oddawać się swemu zamiłowaniu do sztuki i literatury, i raz w tygodniu brać lożę w Comédie française, we wielkiéj i we włoskiéj operze.

Znam jeszcze inną wdowę, która wprawdzie nie jest ani tak młoda i piękna, ani tak roztropna i ogładzona, jak pani Vanard, ale przy tém wszystkiém potrafiła przecież zebrać sobie przyzwoity majątek i to, proszę sobie wyobrazić, za pomocą miotły. Wdowa Thibaudeau arenduje wszędzie „zamiatanie schodów“ i opłaca robotników, którzy zamiatają schody obcych ludzi. Pani Thibaudeau nieurodziła się bynajmniéj z skłonnością do miotły. Wprawdzie mówią, że poeci przynoszą z sobą na świat zamiłowanie do wierszów, a kucharze jakiś instynkt do kuchni; ale pani Thibaudeau jęła się swego rzemiosła z czystego wyrachowania. Dawniéj piastowała skromny urząd dozorczyni pewnego domu w Paryżu w dzielnicy Temple. Cały dom zajmowało dwóch fabrykantów i dwóch jubilerów. Raz śród ostréj zimy przyszło jéj na myśl palić miotłami w piecu. Pomysł ten stał się podwójnie korzystnym. Najpiérw przekonała się, że to co dawniéj szło na świecie, pomieszane z torfem i węglem dostarczało dobrego paliwa; a powtóre, gdy nadeszła wiosna, spostrzegła pani Thibaudeau przy czyszczeniu pieca coś twardego w popiele, co miało żółtawy połysk. Kazała wybadać ten osad, pokazało się, że to złoto: pani Thibaudeau wynalazła kamień mądrości. Odtąd zaczęła arendować zamiatanie we wszystkich domach, gdzie mieszkają złotnicy, i poszczęściło się jéj tak dalece, że zebrała mały kapitalik, z którym przedsięwzięła równocześnie drugą spekulacyę.

Zakupiła w pobliżu Paryża kilka gruntów i kazała budować domki szwajcarskie, do których wzdychają mniéj zamożni mieszczanie paryzcy, i w niedziele miewa tłumy gości.

Niemniéj ciekawą figurą jest niejaki pan Simon, namiętny miłośnik pasterstwa, który trzody swoje wypędza na paszę między cztérma ścianami poddasza, znajdującego się na piątém piętrze pewnego domu w dzielnicy St. Denis. Pan Simon ubiera się z chłopska; nosi drewniane sandały, szarą bluzę, i wygląda jak Grzesio. W całéj jego owczarni niewidziałem kija pasterskiego; ale za to jest język jego równie kwiecisty jak łąki leśne; róże i miód płyną z ust jego obok rozmaitych niemniéj wonnych przyrównań. Gdyśmy przebyli 90 schodów i weszli do jego stajni, oniemieliśmy z zadziwienia; zdawało mi się że jestem gdzieś w pięknym folwarku szkockim; wszystko było tak czysto i ładnie urządzone, jak w bibliotece; ani mi przez myśl nieprzeszło, że się znajduję w stajni. Otóż to stajnia pana Simon składa się z dwóch izb podzielonych na przedziałki. W każdéj przedziałce stoi jedna koza; wszystkich naliczyłem 52. Po nad głową bydlęcia, gdzie zwykle znajdują się żłoby i drabiny na siano, urządził pan Simon rodzaj skrzynki drewnianéj, pomalowanéj na biało, w któréj znajduje się karmia tych delikatnych zwierząt. Powyżéj umieszczone są napisy o dużych literach, jak np. „Melie Morrangulotte. — Pokarm rzepny dla pani M., która cierpi na wątrobę.“ — „Marya Noël, urodzona w téj stajni w roku 1851. Rodzice: Joanna i Maryusz. Pokarm jodowy dla syna p. O., który cierpi na brak krwi.“ — A potém następują osobne uwagi. Nie będę wyliczał wszystkich słabości, które Simon léczy koziem mlekiem, ani powtarzać uczonych nazwisk rozmaitych lékarstw, które daje zjadać kozom, żyjącym swym aptekom. Niejestem ani lekarz ani chemik i niemogę wydawać sądu o jego metodzie léczenia. Zawsze jednak ciekawa to owczarnia i cały ten zakład lékarski pana Simon.

A teraz musimy się zapoznać z panem Oskarem Mithat, liwerantem kości do szynek. Jest-to w swoim rodzaju znawca, jakich mało, i prowadzi ten handel na wielką skalę. Tu mógłbym napisać całą rozprawę statystyczną i przekonać państwa, że w Paryżu konsumują przynajmniéj dwa razy więcéj szynek niż biją wieprzów. Po zjedzeniu szynki zostawiano zwykle kości dla sługi lub chłopaka z terminu. Chłopak zanosił kość do rzeźnika i dostawał za nią 2 sous. Wtedy rozpoczynała kość nanowo swą koléj i dostawała się do handlu. Dlatego starano się fabrykować kości do szynek, gdyż rzeźnik fabrykuje szynki. Szynka jest przeto w Paryżu dziełem sztuki rzeźnickiéj anatomii, na któréj znać się musi każdy profesyonista tego rodzaju. Niejedna z tych kości paraduje przeto przez kilka lat; zrana wynoszą ją upiększoną i ozdobioną ze sklepu, a wieczór powraca do niego naga i ogryziona. Ale złote czasy dla terminatorów i posługaczy minęły już. Oskar Mithat dostarcza za 10 sous tuzin takich kości, i jest w stanie dostarczyć podług upodobania tyle nawet, ile potrzeba dla konsumcyi całego Paryża.

Z kolei mam zaszczyt przedstawić państwu sławnego Eduarda, sprzedawcę rzadkości literackich, woźnego krzykacza ulicznego *par excellence*. Każdy zna pana Eduarda; cały Paryż podziwiał u wnijść do teatrów mężczyznę herkulicznéj budowy ciała, jego głos stentorowy i powabny uśmiech, gdy wrzeszczy przez 6 godzin: „Patrzcieno, moi panowie, co właśnie wyszło,“ i sprzedaje ciekawemu jakiś szpargał, który przed dwoma laty już „rozchwytano“. Niełatwa to rzecz być fabrykantem rzadkości literackich; trzeba umieć przywabić swoją publiczność, i pan Eduard nie zna też żadnego współzawodnika. Sprzedaje swe małe książki, między innemi jakiś ciekawy kodeks pod tytułem: Kodeks portyerów. I proszę posłuchać, jak pan Eduard go zachwala: „Moi panowie, kodeks portyerów, czyli spokojność mieszkańców! To musicie zobaczyć, moi panowie; to musicie poznać. Jeżli macie złego portyera, przyszlijcie go do mnie; ja wymacam każdą jego żyłkę; jestem postrachem wszystkich odźwiernych. Nadesłano mi już tysiące stryczków ze strony tych sułtanów, bym się obwiesił. Spoglądałem na nie z pogardą, gdyż chcę koniecznie wyświadczyć przysługę moim współobywatelom. Przypatrzcież się więc temu, czytajcie to, a włosy staną wam na głowie. Kupujcie mój kodeks portyerów; dość mieć go w kieszeni, już będzie drzeć skóra na waszych portyerach; za pierwszém szarpnięciem dzwonka, odskoczą drzwi nawet po północy i t. d.“ Oprócz kodeksu portyerów wydał jeszcze pan Eduard i pan Jaeglé, jego nakładca, mnóstwo małych książek, egzemplarz po 1 sous. Jest między niemi kodeks dla małżonków, kodeks dla robotników, dla służących, dla umarłych, a nawet dla wszystkich.

Niechcę straszyć moich czytelników kodeksem dla umarłych; praktycznéj korzyści jego niemogłem pojąć w żaden sposób; kodeks portyerów pono także niebardzo miły; ja przynajmniéj boję się portyerów prawie tak samo, jak śmierci i umarłych. Ale kodeks dla robotnika to w istocie godne uwagi dzieło. W małéj, zrozumiale napisanéj książeczce, zestawił pan Jaeglé wszystkie obowiązki i prawa robotnika. Uczy go kochać ojczyznę, szanować ustawy i bronić swego prawa. Dotychczas rozszérzały tylko kalendarzy i almanaki niejaką oświatę między ludem swemi gawędami i anegdotami. Tym ludziom zaś trzeba oddać tę sprawiedliwość, że wpadli na rozsądny pomysł w tak lekkiéj formie rozszérzać między ludem niejaką znajomość ustaw, którą każdy się chelpi a w istocie mało kto posiada.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*